

NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 24

Katowice, 19-go czerwca

1932

Na piątą niedzielę po Świątkach.

EWANGELJA

zapisana u św. Mateusza w rozdz. 5, w. 20—24.

W on czas: Mówił Jezus uczniom swoim: Jeśli sprawiedliwość wasza nie będzie większa, niż uczonych i faryzeuszów, nie wnikniecie do królestwa niebieskiego. Słyszeliście, iż powiedziano w Starym Zakonie: „Nie zabijaj; kto by zaś zabił, tego czeka sąd“. A ja wam powiadam, że każdy, kto się gniewa na brata swego, tego czeka sąd; kto by zaś rzekł bratu swemu: „zakąło“, tego czeka Najwyższy Trybunał; a kto by rzekł: „bezbożniku“, tego czeka piekło ogniste. Jeśli zatem przyniesiesz ofiarę swą do ołtarza, a tam przypominasz sobie, że brat twój ma coś przeciwko tobie, zostaw tam przed ołtarzem ofiarę swą, a idź, pojednaj się wpiertw z bratem swoim, a wtedy, wróciwszy się, złoży ofiarę swoją.

NAUKA.

I.

Gnijące mózgi a „sprawiedliwość“.

Cztery lata temu zwiedził Europę, a przede wszystkim Paryż i Berlin filozof pogański Rabin-dranath Tagore. Wracając do swej pogańskiej ojczyzny tak się wyraził: „Wasze tak zwane chrześcijańskie obyczaje nieomal są gorsze aniżeli nasze pogańskie. Tych bezustannych procesów o rozwód, tych broszur wstrętnych kupczących opisami ohydnych morderstw, i przede wszystkim owych gazet przepojonych jadem nienawiści — tego wszystkiego u nas niema. Wy, zdaje się, z nazwiska już tylko jesteście chrześcianami! Bardzo, bardzo oddaliliście się od Chrystusa!... Przede wszystkim zatem wystrzegajmy się owych gazet przepojonych jadem nienawiści, lubieżności, bezwstydu! Gazeta dobra znakomitą amboną! Zła — najgorszym szkodnikiem! A więc baczność! Wyrzucić to plugastwo z rodziny i parafii! Suchotnika unikasz, by zgnilizną płuc swoich zaraża ci płuca zdrowe! Tak jak suchotnikowi płuca, komuś innemu gnici może mózg. Nie dopuść, by zgnilizną swego mózgu zarażał mózgi zdrowe w rodzinie, w parafii! Wśród nas i tak jest wielu chorych, słabych, niemrawych katolików! Wielu nawet zasnęło zupełnie! (1 Kor. 11). Pocóż powiększać ich liczbę przez to, że nieogłędnie wpuszczamy do domów naszych złe druki! I w tem może być pewna wielka doskonałość, pewna znakomita sprawiedliwość, pewna dzielna zdrowa prawomysłowość, że unikać będziemy tego wszystkiego, co z mózgów pochodzi gnijących. Kto wie, czy „mózgi gnijące“ najgorszą nie są chorobą czasów obecnych??? Zatem do walki! Niech na tem polega sprawiedliwość nasza.

II.

Bluza robotnicza, lecz święta dusza.

Czy wogóle są jeszcze na ziemi dusze szlachetne, dusze ideowe, dusze zmierzające ku tej „sprawiedliwości“, o której ewangelja mówi? Zdążające ku doskonałości i świętości?

7 lipca 1925 r. umiera nagle w Dublinie (Szkocja) przed kościołem św. Zbawiciela, rażony paralizem Hatt Talbot, robotnik budowlany, zatrudniony w firmie Martin. Sanitarjusze zanoszą ciało porażonego do kostnicy. Jakież ich zdziwienie, gdy na ciele zauważają łańcuchy; jeden grubszy wrzynający się w ciało naokoło bioder, 2 cieńsze przy lewej nodze i ręce. Cóż to za tajemniczy człowiek? Zaczynają odsłaniać tajemnicę życia Talbota. Śmierć nagle przed kościołem już rąbek jej uchyliła: Talbot to cichy, pilny robotnik. Do pracy nie spóźniał się nigdy. Wesoły, zadowolony. Nie będąc podżegaczem, krzykaczem wiecowym, w obronie robotnika występował odważnie. Dla siebie z zarobku swego potrzebował tygodniowo zaledwie 6 zł. Reszta szła na intencje dobre: wspierał ojców obarczonych rodziną wielką; dawał jałmużnę; spowiednikowi kiedyś większą zdeponował sumę; wykształcił aż 4 kapłanów. Uprawiał apostołstwo dobrych uczynków, umiając innych pobudzać do czynienia dobrze. Werk mistrzowi swemu, a więc przełożonemu, powiedział tak: ja na misję w Chinach dałem 1200 zł. Pan mający wiele większe dochody, czy nie mógłbyś dać cokolwiek więcej?

Iluż to ludzi ma pieniądze na wszystko, tylko nie na potrzeby bliźniego. Najdoskonalsze te ofiary, które spełniamy z pewnym wysiłkiem, z pewnym zaparciem się siebie.

Widzisz zatem, że w dzisiejszych przykrych czasach nie brak dusz dążących ku doskonałości. Można być biednym robotnikiem jak Talbot — a jednak niezmiernie dużo zdziałać dobrego.

III.

Złota księga dobrych uczynków.

Mówimy o doskonałości czyli o obfitującej sprawiedliwości. Największą doskonałością bodaj jest dobroć, na jaką zdobywa się człowiek względem swego nieprzyjaciela.

W tych dniach rzucił ktoś piękną myśl, by z najgroźniejszych lat wojny 1914—18 ułożyć złotą księgę dobrych uczynków. Uczynków takich, które to nieprzyjacieli spełniał dla nieprzyjaciela. Żołnierz z tej tu strony, dla żołnierza z tamtej. Nieraz z narażeniem własnego życia. Nie zważając na mundur i widząc nawet w przeciwniku i człowieka i brata. Witaj nam księgo złota! Spisuj nam wiernie wszystko dobre, które spełnione zostało w rowach strzeleckich, w zasiekach, w szpitalach lub strasznych obozowiskach dla jeńców. Witaj nam księgo i głoś wymownie całemu światu, że i w najokropniejszych

chwilach miłość chrześcijańska nietylko nie marła, lecz najpiękniejsze owoce rodziła. Piszcie żołnierze! Niech ksiega rośnie!

Względem przeciwnika być dobrym — to dobroć największa.

Zamiast gniewać się i przeklinać i wyzwiska

miotać takie jak: łotrze, idjoto! — przysługę świadczyć za złość, dobrodziejstwo za niegodziwość, miodem płąć za truciznę, chlebem za kamień i bądź przekonany, że właśnie takim postępowaniem najłatwiej i najmocniej uprzygodabniać się będziesz do Ojca w niebie, który nawet złym ludziom z nieba sypie talary, zsyłając im słońce i deszcz na urodzajne lany...

Pielgrzymka nieuleczalnie chorych na Jasnej Górze.

W sobotę, dnia 11 bm., do Częstochowy przybyła pierwsza pielgrzymka nieuleczalnie chorych z Warszawy, aby u stóp Królowej Korony Polskiej uprosić dla siebie polepszenie zdrowia i moc znoszenia cierpień. W pielgrzymce wzięło udział 34 chorych i 39 pielęgnujących, między nimi lekarz dr. Czyżykowski, superior ks. Misjonarzy ks. Lorek i jako kierownik pielgrzymki p. S. Sankowski. Przed odjazdem, na dworcu w Warszawie J. E. ks. Nuncjusz Marmaggi udzielił pątnikom apostolskiego błogosławieństwa.

W Częstochowie na dworcu pielgrzymów oczekiwał specjalny miejscowy komitet, złożony z pań i panów ze Sodalicyj Marjańskich. Zajęli się oni przeniesieniem chorych do pojazdów, którymi odwieziono pielgrzymów na umyślnie przygotowaną kwatere u SS. Najśw. Marji Panny Miłosiernej. Na miejscu liczba chorych, wśród których było 10 ślepców, 10 nie mogących chodzić o własnych siłach, a dalej gruźlicy, rakowaci itp., wzrosła jeszcze o 40 osób, przybył wprost do Częstochowy z innych okolic kraju, aby wziąć udział w pielgrzymce.

Następnego dnia, w niedzielę, panowie z Sodalicyj przenieśli chorych na Jasną Górę do kaplicy Najśw. Marji Panny, gdzie po odsłonięciu cudownego obrazu o. generał Pius Przeździecki odprawił Mszę św., a ks. kap. Rękas, dyrektor Apostolstwa

Chorych, wygłosił podniosłe kazanie. Podczas Mszy św. wszyscy chorzy wraz ze swymi pielęgnującymi przyjęli Komunię św.

Po spożyciu śniadania, jakie wydano pielgrzymom w spowiednicy klasztoru, przeniesiono chorych na krążanki koło spowiednicy, gdzie nastąpiła szczególnie wzruszająca ceremonia pobłogosławienia każdego chorego osobną Najśw. Sakramentem. Na zakończenie tej ceremonii przemówił ponownie ks. Rękas na temat: „Eucharystja a chorzy“.

Po południu tegoż dnia przewieziono chorych do kościoła św. Barbary, gdzie przed kaplicą cudownego źródła, po podniosłym i budującym przemówieniu miejscowego proboszcza ks. prał. M. Nasalskiego, zapisano chorych do bractwa św. Barbary, obdarzono medalikami i wręczono buteleczki z wodą z cudownego źródła wraz z bukietami kwiatów.

Uroczystość, wielka powaga i podniosłość nabożeństw i ceremonij, tudzież liżne dowody współczucia i prawdziwej serdeczności ze strony tych, co zajęli się chorymi pątnikami, niezatarte pozostawiły wrażenie. Ze wzruszenia chorzy płakali, zapominając o swych bólach i cierpieniach. W kilku wypadkach stwierdzono znaczną poprawę w chorobie, a wszyscy opuszczali Jasną Górę silnie pokrzepieni na duchu.

Dobrzy sąsiedzi.

Wieś Szczeberka leży w jednej z najpiękniejszych okolic naszego kraju. Otoczona z jednej strony lasem, z drugiej wyniosłymi wzgórzami, wśród których rozciąga się obszerne jezioro, wieś miała, jak to mówią, i „ryby, i grzyby“, a co najważniejsza, chleb pożywny i zdrowy, bo grunta są urodzajne i łąki wyborne.

Ale najpiękniejsza była w Szczebierce zgoda i jedność między sąsiadami. Cała gromada żyła jak rodzina, jeden drugiemu spieszył z pomocą, radą, niby rodzony brat dla brata. Największą wszakże miłością i szacunkiem darzyła gromada Jana Barcickiego, człeka niezbyt jeszcze podeszłego w latach ale znanego z wielkiej stateczności, rozumu i zanego charakteru, a przytem oświeconego i zamożnego gospodarza. Czy to w potrzebie jakiej o radę, czy z prośbą o trzymanie do chrztu świętego, każdy szedł naichetnie do Barcickich. U Barcickich znalazłeś też i księgozbiór, gdzie były książki ludowe i gospodarskie, których właściciel chętnie gospodarzom udzielał, objaśniał, a nawet zachęcił ich do sprowadzania gazet, które wszyscy co niedzielę odczytywali, prowadząc przytem różne gawedy o gospodarstwie, urodzaju, dobytku, cenach zboża i innych rzeczach mających związek z ich bytem.

Słowem ludność Szczebarki to była nie zwykła gromada, ale Boża czeladka, żyjąca w miłości, po-

koju i błogosławieństwie Nieba. Lata były pomyślne, urodzaj niezwykle, a ceny zboża znaczne; nie więc dziwnego, że gospodarze odznaczający się rzadnością, trzeźwością i zamiłowaniem do pracy, doszli do znacznego dobrobytu, ak, iż znalazłbyś pomiędzy nimi niejednego, co śmiało drugie i trzecie mógł kupić gospodarstwo.

Ale nie tak się działo w zagrodzie Barcickich; tu nie bardzo pomyślnie się powodziło. A trzeba wiedzieć, że zagroda to była nie byle jaka. Jan odziedziczył po rodzicach piękne gospodarstwo, a potem tak je jeszcze własną zapobiegliwością powiększył i rozszerzył, że stał się najzamożniejszym gospodarzem nietylko we wsi rodzinnej, ale i w całej okolicy. Wiadomo jednak, że Bóg i na najzamożniejszych ludzi zsyła próby i wybranych swoich nie raz krzyżami nawiedza. Otóż raz przyszła pogorzała, która większą część dobytku Jana zniszczyła. Potem niemało grosza pochłonęło wychowanie synów, między którymi dwóch było tak zdatnych do nauki, że ojciec oddawał ich do szkół. Następnie dorosła najstarsza córka, więc trzeba ją było wyposażyć; wreszcie zaczęła chorować sama gospodyni, a mąż szukając dla niej ratunku nie żałował na lekarzy i na aptekę.

Wszystko to pochłonęło nietylko dawne oszczędności, ale nadszarpnęło część majątku; a gdy do tego w jednym roku wypadł żywy dobytek, Barcicki załamał ręce i polecając swą stratę Bogu, posta-

nowił sprzedać zagrodę i grunta, a przenieść się z rodziną do przyległego miasteczka, gdzie żona jego odziedziczyła przed kilku laty po krewnych domek z kawałkiem ogrodu, który dotychczas w dzierżawę puszczała. Tam chciał w cichości dożyć ostatka chwil swoich...

Właśnie przybył do zagrody Barcickich nowy nabywca dla ostatecznych układów, a było to w dzień świąteczny, gdy gospodarze zebrani w szkółce gawędzili o różnych różnościach.

— Bieda nam — przemówił sołtys Wasiak, człek przeszedł sześćdziesięcioletni — bieda sąsiedzi, Barcicki porzuca nas. Co my bez niego pocniemy.

— Oj prawda! — odrzekli wszyscy z westchnieniem — zostaniemy bez opiekuna i głowy.

— Tak, nowego będziemy mieć sąsiada — wyrzekł Socha, jeden z najzamożniejszych gospodarzy; — ale stracimy przyjaciela, co z nami wiek przeżył, razem smucił się i radował; postradamy gospodynię, co stała za matkę. I dla dzieci naszych ciężka to strata... Nie będziemy mieli drugiego takiego sąsiada.

— Bo też chyba sprzykrzyło mu się z nami — zauważył Graba — kiedy na stare lata chce przejść do miasta. Czyby to nie mógł dokołatać wieku z nami?

— Łatwo to powiedzieć — rzekł Wasiak — a czy nie widzisz, sąsiedzi, jak Barcicki pobladł i pochylił się do ziemi z frasunku i żalości? Ostatniak to rzecz zdawać w obce ręce szmat ziemi obłany własnym potem. Bieda go od nas wypędza.

— Jakto być może? — zawołało kilku — wszakże jego gospodarstwo więcej warte, niż każdego z nas.

— Gospodarstwo to ładne, ale większe ciężary — mówił dalej sołtys. — Synowie dużo kosztują, żona lekować się musi, a tu jeszcze Pan Bóg doświadczył dobrych ludzi pomorkiem. Weszło się w dług, a kaj w nie człek zabrnął, nie rychło potem już wyleść.

— Czyżby Barcicki miał ich tak wiele, że aż sprzedawać musi? — wtracił Socha.

— Nie są ci tak wielkie — ciągnął Wasiak — ale rosną procenta i Barcicki oglądać się musi, aby do reszty nie stracił. Dobrze, że przyszło do tego, kochani sąsiedzi, iż o tem zaczęliśwa gadkę. Tu nie rozrząsać przez co, po co i jak to się stało, ale radzić nam potrzeba. Czy o byłoby po chrześcijańsku, po ludzku, aby temu, co z nami krwawym potem oblewał łany, my, gromada, mieli okazać, iż w piersiach naszych kamień leży, nie serce? Toć to jest prawie krew nasza i rodzina, bo czyśmy się cieszyli lub smucili bez nich? „Gromada wielki człowiek“, mawiali nasi ojcowie. Pokażmy, gospodarze, że to prawda.

— Jak ksiądz gadacie, Macieju, — rzekł rozczulony Socha — ale co i jak mamy robić?

— Toć darowizny Jan od nas nie przyjmie — przerwał Grzęda.

— I czy my go wratować potrafimy? — wtracił Graba.

— Barcicki nietylko darowiznyby nie wziął, ale za samą o niej wzmiankę straciłby do nas serce, — mówił Wasiak, — o niej też niema i gadki. Ratunku także nie żąda, bo widzisz, sąsiedzi, дума mu na to nie pozwala. Ale jest sposób na wszystko. Dzięki Stwórcy Najwyższemu, a po części i Barcickiemu,

co nieraz poratowali nas w potrzebie, a i do pracy zachęcali słowem i przykładem, jest grosza u nas potrosze. Złożmy, co kto może, i pożyczmy mu, aby mógł spłacić ciężary. Bez procentu nie weźmie od nas; postanówmy też go, ale po chrześcijańsku. Damy mu na 4 od sta, to powoli wybrnie z interesów i kłopotu, a wnuki nasze jeszcze razem żyć będą. Ja mam 2 tysiące marek i zaraz je daję.

— Ja 4 tysiące — przemówił Socha.

— Ja jeden — rzekł Grzęda.

— I ja jeden — dodał Graba.

— Ja tysiąc! — Ja pięćset — Ja sto! krzyknęli inni, tak, że wkrótce Wasiak zliczywszy wszystko, doszedł do liczby 15 tysięcy marek, z którymi też, po ogólnej naradzie, jał mówić, by nie obrazić sąsiada, i po długich jeszcze rozmowarkach ruszyli wszyscy do zagrody Barcickich.

Barcicki już dobijał targu z przybyłym o nabycie jego majątku. Wtem zobaczył zbliżającą się gromadę. Wyszedł wnet do nich, przeprosiwszy na chwilę gościa, i o przyczynę odwiedzin zapytał.

— Prawdaż to, miły sąsiedzie — rzekł po wstępnych przywitaniach sołtys — iż nas, gromadę, rzucić chcecie? Nie smakujeż wam już chleba, cośmy go z wami od maleństwa pożywali? Sprzykrzyłaż się wam rola, co ja wasi dziadowie z ojcamy naszymi orali, czy też nęca was rozkosze miejskie?...

— Dobrzy moi gospodarze i kochani sąsiedzi — odrzekł ze łzą w oku Barcicki, — nie zniechęcenie, brak sił, lub też przyjemności miejskie zmuszają mnie was opuścić, ale smutny stan, w jakim nie własnej winy się znalazłem. Bóg mnie widzi i słyzy, że chciałbym zamknąć powieki pomiędzy wami, ale ciężkie kłopoty nie pozwalają na to.

— Czyżby na nie lekarstwa nie można znaleźć? — odezwał się Wasiak.

— Szukałem go, ale złe jest nie do uleczenia. Gdybym miał lat mniej o dziesiątek, być może przy pracy i wytrwałości wybrnąłbym z obecnych kłopotów. Dziś wiek i lata złamały siłę woli. Omdlały mi już, sąsiedzi, ręce; czas spocząć, nim na zawsze ostygną. Nie robię przed wami tajemnic: długi mi rosną, kłeska wyczerpała zasoby i sposoby ratunku: trzeba więc resztki ocalić, aby nie pójść na starość z torbami.

— Trocha z tego, — rzekł skrobiąc się w głowę sołtys, — my spenetrowali swoim rozumem, ale też myślewa, iż takci źle nie jest i przy dobrej wazszej woli da się wszystko połatać.

— A to w jaki sposób? — ciekawie zapytał Barcicki.

— Nie rozniewajta się na nas, dobry sąsiedzie, — odezwał się Wasiak, — że my, gromada, w wasze wtrącamy się sprawy; ale tu razem i o nas interes idzie. Byliście nam i wy i ojce wasi nie wrogami, ale dobrymi sąsiadami i braćmi, toć nie dziwota, że w nas macie przywiązaną, kochającą was rodzinę. Dlaczego też dzieci nasze nie mają żyć tak dalej, jakęśmy dotąd żyli ze sobą? Otóż my tak rozważyliśmy: Barcicki chce nas porzucić, — bo wszedł w dług, a spłacić ich nie może, bo wysokie daje procenta, a z roli tak wielkich zysków wyciągnąć nie może. Owóż u nas, gromady, dzięki Przedwiecznemu — dodał uchylając czapki — a i wam potrosze, kumie, jest sporo po ludziskach grosza, który leży beczynnem po kufrach. Weźcie go od

nas jako pożyczkę, spłaćcie pilniejsze długi, a da Bóg, i nam wróćcie i wyrobicie się na czysto.

— Bóg wam zapłać, gromado! — rzekł rozczulony Barcicki. — za pocziwe, złote wasze słowa i piękniejsze jeszcze chęci; ale darujcie... przysięg nie mogę waszej ofiarę. Pożyczając — oddać potrzeba; a kto innie zapewni, że grad, posucha, nieurodzaj nie zniszczą plonu mych trudów i nie popchną w gorsze, uciążliwsze położenie? To byłaby loteria z losem, a jam niepewny wygranej...

— Nie gadajcie tak, miły sąsiedzie — rzekł na to Socha, — bo mi się widzi, że nie macie racji. Nasza rzecz pracować, radzić, zabiegać, a Boska — by ziarno wyrosło. Więc dlaczego nie ma wam On pobłogosławić? Czyście to kogo krzywdzili i uciśkali? czy nie żyjęta, jak święta Ewangelja każe? a i w naszych pieniądzech czy to jest choćby szlag krzywdy ludzkiej?

— A przytem my wam także dajemy pieniądze na procent. — wtrącił sołtys, — po 4 od sta na rok.

— Cenię dobrodziejstwa wasze, — mówił Barcicki, — ale korzystać z niego nie mogę. Układy o sprzedaż osady prawie pkończyłem, cenę mi dają znaczną tak, że po spłaceniu ciężarów, mogę jeszcze zabezpieczyć skromny byt mojej rodzinie. Stawać więc znów do walki, wzywać do niej los zawistny i puszczać się na niepewne, nie mogę, bo nużbym stracił resztkę swoje i wasze ciężko zapracowane pieniądze?

— A nam się widzi, — przemówił Grzęda, — że zgrzeszylibyście odrzucając, co z obowiązku wam niesiemy. Czy my to w waszych oczach już za nic nie stoimy, że możecie nas opuszczać?

— I godziłoby się, — rzekł Graba, — abyście rozrządzali bez nas ojcowizną, którą dziady i pradziady wasze obok naszych uprawiali?

— Robotnik dzisiaj drogi, — rzekł Barcicki, — i trudno o najem; ceny zaś zboża, choć znaczne, mogą upaść; jakąż więc byłaby pewność dla was, moi mili, że grosz wasz nie zginie? — Rok zresztą drugi nieurodzaju — przepadłbym ze szczeniem, a nie mówiąc o sobie, co mniejsza, jakabym zgotował przyszłość słabowitej żonie i córkom, co za ledwie z nieimowliwych lat wyszły?

— Kiedy o to idzie, to pozwólcie wam inny układ przedstawić. Wiecie, ile warta wasza osada. My wam damy 8 tysięcy marek, które, jak myślę, zepchną pilniejsze długi; a jeśli by zabrakło, to pościskawszy kieszenie, znajdziemy i więcej. Przypuśćcie więc nas ze sobą do spółki. Weźmijcie parobka jednego, dwóch, jeżeli koniecznie potrzeba, a co do wywózki nawozu, košby, sprzętu i innych gospodarskich robót, my, obliczywszy się, wywozić, kosić i zbierać wam gromadą będziemy. Po roku obliczym dochód i wydatki po Bożemu i zysk rozdzielimy między sobą. Mnie się patrzy i zobaczycie, że wyjdziemy na tem niegorzej. Co wy na to, gromado?

— Zgoda! zgoda! — krzyknęli wszyscy. — Jeśli już teraz wzgardzicie, to chyba do nas serca nie macie i łakomicie się na zysk ze sprzedaży.

— Kiedy tak, — odrzekł Barcicki ze łzami w oczach, — to i ja powiem już „zgoda!“. Próbuemy... kto wie, może Bóg natchnął was szczęśliwą myślą. Zróbmy więc w spółkę i damy jutro na Mszę św., na którą was wszystkich, sąsiedzi, a od dziś wspólnicy, zapraszam, pójdziemy po niej do miasta nasz układ zatwierdzić.

— Na Mszę świętą, zgoda, — rzekł sołtys, — bo „kto z Bogiem, Bóg z nim“; ale po co nam zapisy? — My wam, kumie miły, wierzymy, a zły człowiek nawet z kontraktem, jeśli zechce, ukrzywdzić potrafi.

— Dziękuję wam za zaufanie, — odrzekł Jan, — ale od tego nie odstąpię, bo tak porządek rzeczy wymaga. Wszyscyśmy śmiertelni, więc znak naszej dobrowolnej umowy pozostać musi. Wydatek, już rachując się do spółki, będzie nieznacznym, a widzicie słusznie to powiedziano, że słowa ulatują a papier zostanie.

— No to i zgoda, — odpowiedział sołtys, a za nimi inni.

— Żegnajcie więc, miły sąsiedzie. Bodajbyśmy prawnuków ze sobą doczekać mogli!

*

Na drugi dzień w Szczebierce Barcicki z rodziną i całą gromadą z kornie pochylonemi głowami zanosili modły do Boga o pomyślną przyszłość dla przedsięwzięcia; a Bóg z pewnością nie odmówił błogosławieństwa swego temu, co wzięło początek w świętej miłości bliźniego.

Z zakonu OO. Franciszkanów.

Według ostatniej statystyki liczy obecnie zakon OO. Franciszkanów 100 prowincji i komisariaty, a 22.004 członków, z czego 9982 kapłanów, 4166 kleryków, 1029 kleryków w nowicjacie, 4715 braci, 348 braci w nowicjacie i 1764 tercjarzy zakonnych. — Prócz tego do wstąpienia do zakonu przygotowuje się w szkołach franciszkańskich 1885 uczniów. Generałem zakonu jest o. Bonawentura Marrani. W kościelnej hierarchji klasztor posiada 12 arcybiskupów i 39 biskupów, oraz wielu prefektów i kierowników samodzielnych misyj. Pozostające w związku z zakonem franciszkańskim zgromadzenie Klarisek liczy 12.919 członkiń w 624 klasztorach. Ilość tercjarzy świeckich, zależnych od zakonu franciszkańskiego wynosi na całym świecie 1.628.959 członków.

Dziewięć nowych biskupstw w Argentynie.

Rząd argentyński podał do publicznej wiadomości, że rokowania ze Stolicą Apostolską w sprawie utworzenia w Argentynie trzech nowych arcybiskupstw i 6 biskupstw zostały pomyślnie ukończone. Odpowiednie dotacje zostały już w budżecie państwa zamieszczone. Argentyna posiadała dotychczas na 11 milionów mieszkańców 1 arcybiskupa i 10 biskupów, obecnie zaś posiadać będzie 4 arcybiskupów i 16 biskupów. Z innych państw południowo-amerykańskich Boliwia na 3 milj. mieszkańców posiada 1 arcybiskupa i 1 biskupa, Brazylja — na 32 miliony mieszkańców — 16 arcybiskupów i 71 biskupów, Chile (4½ miliona mieszkańców) — 1 arcybiskupa i 11 biskupów, Kolumbia (6½ milj. mieszkańców) — 4 arcybiskupów i 11 biskupów. Razem środkowo i południowo-amerykańskie państwa liczą 44 arcybiskupów i 172 biskupów.